

Kompleks niższości nauk społecznych

Autor: **Fritz Machlup**

Źródło: mises.org

Tłumaczenie: **Dawid Świonder**

Tekst stanowi część książki [On Freedom and Free Enterprise: Essays in Honor of Ludwig von Mises](#)

Powtarza się wciąż, że nauki społeczne są relatywnie bardzo młode. Dlaczego przedstawiciele nauk społecznych upierają się, iż jest to fakt, a owo stwierdzenie warte jest powtarzania?

Zwyczaj dostrzegania swego wieku przez niemłode już kobiety i podkreślania swej młodzieńczości opiera się zapewne na obserwacji, iż — co do zasady — młodsze kobiety postrzegane są jako lepsze kandydatki na żony, bardziej pożądane i atrakcyjne — częściowo dlatego, że piękno zanika z wiekiem, a częściowo dlatego, że niedoświadczenie i niewinność kojarzone są z młodością, a wielu mężczyznys wysoko je ceni. Nie jest to jednak dla nas pomocna analogia. Niewinność, niedoświadczenie, piękno — z pewnością nie są to atrybuty, które przedstawiciele nauk społecznych pragnęliby przypisywać swoim dziedzinom jako sposób na przyciągnięcie większej liczby naśladowców i wielbicieli.

Inna analogia może być bliższa [właściwemu] wyjaśnieniu. Małym dzieciom wybacza się, gdy zachowują się źle lub niepoważnie. Być może przedstawiciele nauk społecznych pragną powoływać się na ów przywilej dzieciństwa, by zapewnić sobie wyrozumiałość świata dorosłych, jak gdyby chcieli rzec: „Wybaczcie nam, iż jesteśmy tacy tępi, ale jesteśmy jeszcze młodzi”. Przez implikację wydają się obiecywać: „Poczekajcie, aż dorośniemy — jeszcze tylko kilkaset lat, a zobaczycie, jacy będziemy mądrzy”. W każdym razie, jeżeli są dziećmi, powinno się zatem przyznać im przywilej bycia niepoważnymi; w końcu dzieci nie zdają sobie sprawy z tego, co robią.

Moim zdaniem najodpowiedniejszą analogią są powszechnie znane przeprosiny graczy i sportowców, którzy starają się uzasadnić porażkę swoją niezdarnością. Jeśli przyznają, że są starymi wyjadaczami w grze lub sporcie, ich

słaby wynik można przypisać brakowi inteligencji lub talentu; jednak w butach „nowicjuszy” nie wypadają oni aż tak źle. Dlatego „Przepraszam, jestem początkującym” to częste przeprosiny sportowców i graczy, mających poczucie niższości. Zapewne właśnie to kryje się za stwierdzeniami przedstawicieli nauk społecznych, gdy podkreślają, jak młode są nauki społeczne: „Nie myślcie, proszę, że jesteśmy głupcami; jesteśmy dopiero początkujący”.

Tylko ci, którzy czują, że ich dokonania są niesatysfakcjonujące i gorsze od dokonań innych, mają powód, by wskazywać na fakt, iż są oni relatywnie nowi w swej dziedzinie i dlatego nie powinno się od nich oczekiwać lepszych wyników. To, czy faktycznie są oni słabi w swoim fachu, czy nie, nie stanowi sedna sprawy: kompleks niższości da się bowiem usprawiedliwić (lub nie) na podstawie pewnych „obiektywnych” standardów. To właśnie owo *poczucie* niższości sprawia, iż cierpiący nań przepraszają nad wyraz, są agresywni, bądź uciekają się do innych rodzajów [kompensacji](#).

Problemem, jaki tkwi w deklaracjach przedstawicieli nauk społecznych, jest to, iż twierdzenie o „młodym wieku” ich nauki nie jest prawdziwe. Wystarczy, że otworzymy podręczniki omawiające historię teorii społecznej, politologii lub ekonomii, a przekonamy się, iż nie mamy prawa do tej niepoważnej mowy o byciu jeszcze dziećmi, czy dopiero początkującymi, jak w przypadku wymówek owych nowicjuszy. Nasze dziedziny są tak stare, jak każde inne; uczeni i pisarze w klasycznej Grecji interesowali się problemami społeczeństwa tak samo jak problemami świata fizycznego, a ich osiągnięcia w owej pierwszej kwestii są nie mniejsze niż w tej drugiej.

Jednakże „młodzieńcy” czy „początkujący” reprezentanci nauk społecznych szybko podniosą sprzeciw wobec mojego odniesienia do naszych starożytnych poprzedników i stwierdzą, że: „Tego, czym zajmowali się [starożytni], nie można nazwać «nauką»! Dopiero niedawno myśl społeczna stała się *nauką* społeczną”. Takie orzeczenia zmuszają mnie do ponownego odwołania się do analogii „początkującego” sportowca. Kiedy pewnego razu usłyszałem znajome „Jestem dopiero początkująca” od frywolnej narciarki, którą już wiele lat wcześniej widziałem, jak jeździła techniką [pługa](#), byłem na tyle nieuprzejmy, by wypomnieć jej ów fakt. Na to, niczym niezrażona, odparła: „Tamto się nie liczy! To nie była właściwa technika; nie można nazwać tamtego jazdą na nartach!”.

Dokładnie taką wymówkę owi wieczni początkujący, przedstawiciele nauk społecznych, próbują nam zaserwować: „To, czym zajmowali się ci ludzie dawno temu, nie było właściwą metodą naukową, nie można nazwać tego Nauką Społeczną!”. Nie zgadzam się z owym fragmentem o właściwej metodzie i pragnę przed nim ostrzec. Dawni badacze społeczeństwa wykorzystywali taką metodę, którą oni uważali za właściwą i użyteczną, myśląc przy tym — zarówno 2,5 tys. lat temu, 2 tys., jak i 1 tys. oraz 200 lat temu — iż udało im się zdobyć wiedzę o ludzkim działaniu głębszą i bardziej dokładną niż ta, którą dysponował przeciętny człowiek z ulicy. Z tego względu powinni oni być uważani za nie mniej „renomowanych” niż każdy, kto stosuje najmodniejsze dziś metody.

To, że dawni uczeni zajmujący się studiowaniem społeczeństwa nie nazywali siebie „przedstawicielami nauk społecznych”, jest oczywiście nieistotne. Do niedawna ich dziedziny stanowiły część „filozofii moralnej”, tak jak fizyka była częścią „filozofii naturalnej”. Fakt, iż [Newton](#) i jemu współcześni uważali jego pracę za filozofię naturalną, nie zabrania nam nazywania go fizykiem (choć pisał też wiele na temat filozofii i teologii, uważając, że jego wkład do owych dziedzin ma istotne znaczenie).

To, czy pewien obszar wiedzy w pewnym momencie w przeszłości był „nauką”, nie powinno być oceniane na podstawie *miana*, jakim go określano; ani *metody*, na jakiej polegał; ani także *sukcesu*, jaki z punktu widzenia potomności odniósł. Wiedza jest „naukowa”, jeśli jest bezstronna, usystematyzowana i bardziej kompletna lub dokładna niż „potoczna” wiedza w danym czasie. Fakt, iż w ciągu ostatnich kilkuset lat licznym pisarzom uchodziło płazem proponowanie raczej wąskich i restrykcyjnych definicji „nauki” — ograniczających owo pojęcie do określonego przedmiotu badań lub określonych metod — spowodował wiele udręki na przedstawicieli nauk społecznych.

Jeśli ograniczenia te dotyczyłyby wyłącznie *przedmiotu badań* i raz na zawsze wykluczyłyby zjawiska społeczne, wynikałoby z tego znacznie mniejsza szkoda, bowiem badanie społeczeństwa nie mogłoby żadną miarą „zakwalifikować” się do tytułu „nauki”. Jednak wiele restrykcji dotyczyło szczególnych *metod*, a to z kolei pobudziło ambicję przedstawicieli nauk społecznych, by zasłużyć sobie na ów zaszczytny tytuł poprzez przyjęcie — w możliwie największym stopniu — metod, jakie określono mianem definicyjnych cech Nauki.

To właśnie z powodu owych restrykcyjnych definicji nauki społeczne uważane są za bardzo młode. Ci, którzy nalegają, iż nauka musi być systemem dedukcji wyprowadzanych z niewielkiej liczby aksjomatów lub postulatów, będą datować narodziny ekonomii wraz z publikacją [Zasad Ricardo](#) i zaprzeczą naukowemu charakterowi politologii, socjologii oraz pozostałych dziedzin nauk społecznych.

Ci, którzy nalegają, iż nauka musi być oparta wyłącznie na serii indukcji z dużej liczby dokładnych obserwacji i precyzyjnych pomiarów obiektywnie spostrzegalnych zjawisk, uznają socjologię za twór raczej niedawny i zaprzeczą naukowemu charakterowi ekonomii, politologii oraz większości innych dyscyplin powszechnie zaliczanych do nauk społecznych.

Są to jednak tylko dwie z ogromnej liczby restrykcji definicyjnych. Gdy we współczesnym podręczniku metodologii nauk społecznych autor stwierdza, iż „Jeśli mamy być szczerzy, musimy przyznać, że *pierwszy wiek* nauk społecznych nie przyniósł nam zwycięstwa”, możemy wysnuć, że uznaje on [Auguste’a Comte’a](#) za prekursora nauk społecznych i akceptuje jego metodę „pozytywizmu” jako zasadnicze kryterium tego, czy coś można uznać za „nukę”.

Zapewne powinno się wspomnieć, iż nie istnieje definicja nauki, zgodnie z którą wszystkie części i działy fizyki, chemii, biologii, geologii i innych dziedzin uważanych powszechnie za nauki przyrodnicze, można by określić mianem „nauki”. Definicje nauki, które kładą nacisk na *system* teoretyczny, tj. sieć logicznie powiązanych hipotez opartych na myślowych [konstruktach](#) o idealnej ścisłości, niewątpliwie wykluczają dużą część chemii i biologii. Definicje kładące nacisk na powtarzalność eksperymentów i weryfikowalne prognozowania, wyraźnie wykluczają te części biologii, geologii i kosmologii, które zajmują się ewolucją życia, Ziemi i wszechświata. Nawet w fizyce — dyscyplinie, która jest nauką [par excellence](#), ponieważ większość definicji nauki formułowana była z myślą o fizyce jako wzorcu — autorytety w żaden sposób nie są zgodne co do tego, czy to system dedukcyjny, czy metoda indukcyjna konstytuuje jej naukową naturę.

Interesujące byłoby skatalogowanie definicji nauki proponowanych lub przyjętych przez różnych autorów w różnych obszarach czy wyspecjalizowanych dziedzinach większych dyscyplin. Wszyscy oni opisują cechy charakterystyczne nauki w taki sposób, że ich własna praca nadal kwalifikuje się jako „naukowa”,

podczas gdy niewiele uwagi poświęcają — bądź okazują niekryte lekceważenie — swym kolegom w tej samej dyscyplinie, dziedzinie z nią spokrewnionej lub takiej, która jest im całkowicie nieznaną.

Wielu przeto uczonych, wykluczonych z elitarnego grona „prawdziwych naukowców”, cierpi na dotkliwie frustracje i popada w kompleks niższości albo doświadcza pogłębienia już nabytego. W obronie przed poniżającym „odrzuconiem” próbują oni zmienić definicję nauki przez rozszerzenie zakresu „metody naukowej” tak, by objęła ona techniki stosowane w ich własnej pracy, lub przyjmują techniki pracy, które — jakkolwiek nieodpowiednie względem przedmiotu badań czy rozważanych problemów — zostają bezpiecznie zaaprobowane, bądź w jakiś sposób mogą być przedstawione jako „naukowe”.

Proste wyliczenie przedmiotów, jakie zwyczajowo uznaje się obecnie za nauki społeczne, wystarczy do wyklarowania, iż wymóg, by opierały się one na tych samych metodach (bądź na jednej metodzie), jest całkowicie niepraktyczny, o ile nie fantastyczny. Lista zawiera socjologię, antropologię kulturową, psychologię społeczną, geografę społeczno-ekonomiczną, demografię i teorię populacji, etnografię i etnologię, politologię, ekonomię, historię, stosunki międzynarodowe. Lista ta jest niekompletna bądź zbyt obszerna — w zależności od tego, czy poszczególnym obszarom badawczym przyznaje się „autonomię”.

Co więcej, łatwo można wykazać, iż wiele z rzekomo oddzielnych obszarów badań jest w wysokim stopniu wzajemnie zależnych. I wreszcie, większość z owych przedmiotów wymaga kilku podejść: deskryptywnego, historycznego, statystycznego i teoretycznego, które z kolei należy umiejętnie zintegrować podczas stosowania ich do konkretnych zagadnień. Naleganie, by stosować *jedną* „metodę naukową” do wszystkich byłoby nonsensowne.

Co faktycznie rozumie się przez *jedyną* „metodę naukową”? W swym najwęższym znaczeniu, metoda naukowa powinna oznaczać metodę *eksperymentalną*, czyli wymóg, by każde twierdzenie było „weryfikowane” przez powtarzane doświadczenia laboratoryjne przy ścisłej kontroli wszystkich warunków. W znaczeniu szerszym, metoda naukowa powinna oznaczać metodę *statystyczną*, czyli wymóg, by każde twierdzenie było „weryfikowane” w oparciu o liczne zestawy danych statystycznych odnoszących się do dostatecznie porównywalnych sytuacji. Jeśli jednak nie dopuszcza się dalszego poszerzenia definicji, i jeśli żadne twierdzenie nie jest uznawane za „naukowo” akceptowalne

dopóty, dopóki nie zostanie potwierdzone przez taką właśnie metodę naukową, wtedy akceptowalny będzie jedynie *niewielki* i najbardziej *nieistotny* ułamek wszystkich twierdzeń dotyczących ludzkiego działania w społeczeństwie.

Rzecz jasna, aby włączyć do definicji inne sposoby prowadzenia dociekań naukowych, proponuje się wszelkiego rodzaju dodatkowe ustępstwa. Jednak poza odwołaniem się do najszerszego znaczenia metody naukowej — zdefiniowanego w *Encyclopedia Britannica* jako „dowolny sposób prowadzenia dociekań, za pomocą którego nabywa się bezstronną i systematyczną wiedzę” — żaden kompromis, który dałoby się uzasadnić epistemologicznie, nie jest tu możliwy. W ten sposób usunięte zostałyby podstawy, na których jeden uczony mógłby rościć sobie wyższość względem innego, powołując się na czystość i nienaruszalność swojej metody; usunięta zostałaby jakakolwiek potrzeba poczucia winy lub niższości ze strony uczonych, którzy umiejętnie i pracowicie zwiększają nasz zasób wiedzy w toku dociekań niemających przydatności eksperymentalnej, statystycznej, ilościowej czy prognostycznej. Jednak odwołanie się do owego najszerszego znaczenia metody naukowej nie spotyka się z powszechną akceptacją, przez co nadal musimy pracować w oparciu o restrykcyjne definicje oraz ponosić konsekwencje kompleksu niższości nauk społecznych.

Konsekwencje bądź manifestacje kompleksu niższości nauk społecznych przybierają głównie formę scjentyistycznych kompensacji. Niektóre z nich są stare i można je „podać leczeniu”; na te, które zaobserwowano dość niedawno, nie wynaleziono jeszcze lekarstwa. Niektóre, chociaż zostały opisane w sposób satysfakcjonujący, nie otrzymały jeszcze swej nazwy technicznej, zatem zaproponuję odpowiednie nazewnictwo. Mimo iż zapewne jest ich trochę więcej, zajmiemy się tu następującymi: (1) [Historyzm](#), (2) [Instytucjonalizm](#), (3) [Holizm](#), (4) [Behawioryzm](#), (5) [Operacjonizm](#), (6) Metromania, (7) Predykcjonizm, (8) Preskrypcjonizm, (9) [Matematoza](#), (10) Eksperymentomania. Rzecz jasna, większość dotkniętych owymi przypadłościami nie będzie w stanie rozpoznać, że ich stanowisko jest aberracją, natomiast będą nalegać, iż to właśnie oni (i tylko oni) dysponują właściwymi spostrzeżeniami, a pozostali działają w sposób nienaukowy.

Zanim przejdę do sformułowania możliwie najzwięźlejszych opisów symptomów i manifestacji owych przypadłości, warto będzie — celem uniknięcia

nawet chwilowych nieporozumień — przytoczyć tu, w postaci przykładów, pewne wyjaśnienia, które dalej zostaną bardziej uszczegółowione. Historyk nie musi być historyką — w rzeczywistości niewielu historyków jest nimi — natomiast najbardziej fanatyczny historyk może być doskonałym historykiem. Uczniowie zajmujący się statystykami społecznymi, ekonomią ilościową, ekonometrią, ekonomią matematyczną lub analizą matematyczną w innych naukach społecznych — choćby interesowały ich wyłącznie badania oraz analizy ilościowe i numeryczne — mogą być dalecy od postaw scharakteryzowanych jako metromania i matematyka; a nawet ci, którzy tymi przypadłościami są dotknięci, mogą wypracowywać użyteczne rezultaty. Tak więc ich praca nie jest tu problemem. Tym, co uważam za niezdrowe w wymienionych wyżej dziesięciu stanowiskach czy przekonaniach, jest przede wszystkim próba narzucenia pewnych metod innym w imię „nauki” oraz dyskredytowanie badań pozostałych [uczonych], nie dlatego, że ich argumenty lub odkrycia są błędne, wewnętrznie sprzeczne bądź obalone przez dowody, ale dlatego, iż nie stosują oni metody, którą uważa się za jedyną „naukową”.

Historyzm upiera się przy gromadzeniu faktów historycznych jako jedynym uprawnionym punkcie wyjścia i podstawie badań społecznych; przy zakazie korzystania z teorii podczas interpretacji przeszłych wydarzeń, przyznając mimo to niekiedy, iż teorie mogą ostatecznie zostać wydestylowane z dużego zbioru danych historycznych; jednak ważność (nie sama stosowalność) dowolnej takiej teorii będzie ściśle ograniczona co do czasu i miejsca. Tym, czym doświadczenia laboratoryjne są dla nauk przyrodniczych, badania historyczne są dla nauk społecznych: tak jak do studiowania natury konieczna jest metoda eksperymentalna, „metoda historyczna” konieczna jest w studiach nad społeczeństwem, czyniąc je „naukowymi”. Sama teoria stanowi bezużyteczną spekulację, zwykłą metafizykę; historia jest metodą naukową nauk społecznych.

Institucjonalizm, dzieląc z historyzmem pogląd, iż teoria społeczna nie może być teorią uniwersalną, oraz że nie jest ona „stała” ani „kosmopolityczna”, utrzymuje, że ludzkie postawy, cele i organizacje — wszystkie zwane instytucjami — podlegają kontroli człowieka, przez co nie mogą być brane jako założenia podstawowe w analizie ludzkiego działania; nauki społeczne muszą raczej koncentrować się na opisach instytucji i ich ewolucji; w ten sposób będą one oparte na faktach, a nie na spekulacji i uprzedzeniach.

Holizm (oznaczający „całość, ogół”) przyjmuje kilka form; jedna ob staje przy poglądzie, że całość ma pierwszeństwo (logicznie i historycznie) względem swoich części, a zatem studiowanie społeczeństwa musi zaczynać się od „społecznych ogółów” lub kolektywów — narodu, wspólnoty, rynku etc. — a nie od jednostki i niektórych jej motywacji oraz działań; inna jego forma upiera się przy tym, iż w analizie nie powinno się oddzielać różnych aspektów ludzkiego działania, a funkcjonowanie społeczeństwa i organizacji należy badać realistycznie oraz jako „całość”. Obieranie jednostki jako punkt wyjścia dociekań, a także wyizolowywanie poszczególnych aspektów jej działania, uważa się za nienaukowe, bowiem tylko obserwowanie niepodzielonej całości umożliwi naukowe badanie społeczeństwa.

Behawioryzm nalega, by zawęzić zakres nauk społecznych (wraz z psychologią *per se*) do ustalenia prawidłowości fizycznego zachowania człowieka w ściśle określonych warunkach. Wszelka interpretacja ludzkiego działania na podstawie introspekcji lub przy użyciu konstruktów myślowych, postulująca istnienie motywacji lub preferencji, jest odrzucana jako spekulatywna; aby badania były rzetelne naukowo, muszą być ograniczone do obiektywnie spostrzegalnych faktów, obserwowalnych i opisywalnych w kategoriach fizycznych.

Operacjonizm (lub operacjonalizm) upiera się przy wyłącznym stosowaniu tzw. pojęć operacyjnych w dyskursie naukowym; oznacza to, że wszystkie pojęcia muszą być definiowane w kategoriach operacji, przede wszystkim fizycznych operacji samych obserwatorów naukowych. Konstrukty myślowe bez operacyjnych odpowiedników, pojęcia zidealizowane, są odrzucane od razu lub dopuszczane jedynie tymczasowo w oczekiwaniu, iż wkrótce zostaną zastąpione pojęciami operacyjnymi. „Możliwie operacyjne” pojęcia są niekiedy — wyjątkowo i niechętnie — tolerowane ze względu na brak pojęć „praktycznie operacyjnych”. Jako ustępstwo proponowano (poniekąd niespójnie), by poza operacjami fizycznymi dopuścić też „operacje umysłowe”, jednak nie spotkało się to z szeroką aprobatą, jako że otworzyłyby to drzwi do spekulacji metafizycznej.

Metromania — wynikająca z upartego trwania przy dogmacie, iż „nauka to pomiar” — przybiera postać prób zmierzenia wszystkiego, co wiąże się z przedmiotem badań (choćby w nikły sposób); przekonania, że uzyskane liczby mają znaczenie; oraz natarczywych twierdzeń, iż jakakolwiek hipoteza

niemożliwa do poddania ilościowej weryfikacji musi być odrzucona jako „nienaukowa”. Kwestie stałości obliczanych zależności numerycznych oraz ich historyczna względność są zazwyczaj ignorowane, i wciąż preparowane są nowe dane statystyczne dla różnych lub dłuższych przedziałów czasowych celem wprowadzenia „poprawionych” parametrów lub współczynników, „wyjaśniających” mierzone wielkości rzeczywistości społecznej.

Predykcjonizm — inspirowany sukcesem nauk przyrodniczych w przewidywaniu wyników kontrolowanych eksperymentów laboratoryjnych — widzi jedyny cel i uzasadnienie dociekań naukowych w formułowaniu twierdzeń służących jako narzędzie do skutecznego przewidywania zdarzeń w świecie rzeczywistym, wliczając w to świat społeczny, w którym tylko kilka istotnych czynników można kontrolować czy nawet rzetelnie ustalić, nie mówiąc już o mierzeniu. Opisy o charakterze jedynie wyjaśniającym, a nie predykcyjnym, są odrzucane jako spekulacje.

Preskrypcjonizm, naśladowując wielkie osiągnięcia praktyczne nauk fizycznych, kładzie nacisk na praktyczną użyteczność rezultatów badań w naukach społecznych; domaga się korzystania z nich w projektowaniu udoskonalonych instytucji społecznych oraz przede wszystkim w organizowaniu gospodarki tak, by zaspokajała potrzeby ludzkości znacznie lepiej niż ta w obecnym kształcie; przyjmując dogmat „savoir pour prévoir pour pouvoir”, potępia czystą teorię jako apologię *status quo* i — w imię „nauki” — wzywa do działania na rzecz opracowania odpowiednich planów reform. Te z kolei zakładają społeczną kontrolę życia gospodarczego na gruncie „socjalizmu naukowego” lub rządowego planowania i interwencji.

Matematoza to — inspirowana podziwem dla szerokiego zastosowania matematyki w naukach fizycznych — chęć wykorzystania matematyki do wyrażenia twierdzeń, które równie dobrze można byłoby wyrazić prostym językiem. Czysto „literackie” argumenty są zbywane, a idee lub problemy nieredukowalne do wzorów matematycznych podejrzewa się o bycie „metafizyką” lub „pseudoproblemami”.

Eksperymentomania łączy silne przekonanie, według którego „naukowe” są tylko eksperymenty praktyczne, z iluzją, że badania nad sferą społeczną zostaną w ostateczności „solidnie” ugruntowane na ściśle kontrolowanych eksperymentach praktycznych; wszystkie obecne techniki badawcze uważa się za

przygotowania do ostatecznych badań doświadczalnych, a dodatkowo wynajduje się problemy badawcze, które natychmiastowo można ująć za pomocą technik laboratoryjnych, nawet jeśli są mało istotne względem jakichkolwiek hipotez mających znaczenie w systemach stosowanych do tej pory w różnych naukach społecznych.

Wszystkie te stanowiska, przekonania i pragnienia posługują się sztandarem „prawdziwej nauki” jako środkiem do uzyskania wsparcia i sojuszy, a także do zwalczania „niewiernych”. Ich własna metoda jest najlepsza — nie dlatego, że okazała się szczególnie owocna oraz dała rezultaty niemożliwe przy zastosowaniu innych metod, ale dlatego, że jest to jedyna „prawdziwie naukowa” metoda. Wszystkie pozostałe metody powinno się odrzucić — nie dlatego, że były nieprzydatne w uzyskiwaniu lub potwierdzaniu wiedzy lub spostrzeżeń, ale dlatego, iż są „nienaukowe”.

Istnieje co najmniej jeszcze jedna cecha, wspólna wszystkim opisanym wyżej stanowiskom, przekonaniom i pragnieniom. Przedstawiciele nauk społecznych, którzy je wyrażają, najwyraźniej wstydzą się jednej rzeczy rzeczywiście odróżniającej nauki społeczne od nauk przyrodniczych, tj. faktu, iż *badacz ludzkiego działania sam jest działającą istotą ludzką*, a przeto — inaczej niż badacz zjawisk przyrody — bezpośrednio dysponuje źródłem swej wiedzy. Studiujący atomy, elektrony, pola magnetyczne, enzymy, geny etc. nie jest żadną z tych rzeczy i nie doświadcza ich w sposób bezpośredni, podczas gdy badacz ludzkiego myślenia i działania sam jest myślącym i działającym człowiekiem, posiadającym znaczną wiedzę o przedmiocie swych dociekań, jeszcze zanim owe dociekania rozpocznie.

Bliski i nierozzerwalny związek między przednaukową wiedzą potoczną a wiedzą naukową odnośnie do przedmiotu nauk społecznych stanowi jednocześnie pomoc i utrapienie. Jest pomocą w takim znaczeniu, że wyposaża badacza społecznego we wstępny zasób doświadczeń, hipotez i interpretacji o fundamentalnym znaczeniu. Natomiast utrapieniem jest dlatego, że nakłada nań obowiązek operowania konstruktami, które są zrozumiałe dla niego oraz innych ludzi w kategoriach codziennych doświadczeń; tzn. spoczywa na nim obowiązek, aby jego pojęcia naukowe odnosiły się pod każdym możliwym względem do pojęć, jakimi — w ich potocznej interpretacji — na co dzień posługują się działający ludzie.

Przedstawiciele nauk społecznych cierpiący na kompleks niższości, jaki wywołali u siebie za pomocą frustrującego przekonania, że metody nauk przyrodniczych są jedynymi prawdziwie naukowymi, odmawiają zarówno dostrzeżenia owego „obowiązku”, jak i skorzystania z wyżej wspomnianej „pomocy”. Mylą oni wymóg naukowego „obiektywizmu” z zakazem „subiektywizmu” — wrzucając do jednego worka „subiektywizm” rozumiany jako stronniczość i jako zdolność do introspekcji.

Musimy też jednak uważać, by nie spowodować nieporozumienia, jakobyśmy nie respektowali pozytywnych i konstruktywnych wartości w opisanych stanowiskach, przekonaniach i pragnieniach; takie wartości powinny być dostrzeżone. Musimy przeto być pewni, że nie mylimy historyków z *historystami*, ani że nie umniejszamy wartości dobrej pracy historycznej tylko dlatego, że jej autor wyraża poglądy historyzmu, agresywnie krytykując wszystkie analizy teoretyczne.

Nie możemy nie doceniać ważności prac opisowych na temat instytucjonalnych cech naszego ustroju społecznego, nawet jeśli ich autorzy są zagorzałymi zwolennikami metodologii *instytucjonalizmu* i oponentami wszelkiej teorii ogólnej. Powinniśmy przyznać, iż wołania *holistów* o zintegrowane badania — mimo iż często destruktywne w ich odrzuceniu wyodrębniania abstrakcji — mogą niekiedy poskutkować odkryciem nowych danych i rozwojem obiecujących hipotez. Musimy stwierdzić, że *behawiorysty* wykonali rzetelną pracę, uzyskując istotne rezultaty, nawet jeśli ich kampania przeciwko introspekcji i spekulatywnemu rozumowaniu o oddziałujących zmiennych w znacznym stopniu utrudniła rozwój nauk społecznych.

Chociaż prawdą jest, iż próby *operacjonistów*, by wykluczyć czysto teoretyczne konstrukty, przyniosły złe efekty, należy oddać im, że odnieśli sukces w rozwinięciu szeregu statystycznie operacyjnych pojęć jako użytecznych odpowiedników pojęć czysto teoretycznych, przysługując się tym samym znacznie do poszerzenia naszego zbioru informacji o faktach. Nie możemy postrzegać wszystkich specjalistów statystyki społecznej, ekonomii ilościowej lub ekonometrii jako *metromanów*; co więcej, podczas gdy metroman mógł zmarnować pieniądze na gromadzeniu stert niepoważnych statystyk oraz wprowadzić w błąd najbardziej utalentowanych uczonych, jego entuzjazm względem pracy empirycznej zapewne przysłużył się produktywnie w obszarze

badań ilościowych, za co zasługuje na uznanie niezależnie od szkody, jaką wyrządziły głoszone przezeń poglądy na temat metody naukowej.

Prezykcyjniści mają oczywiście rację w zachęcaniu do formułowania generalizacji użytecznych w przewidywaniu oraz testowalnych w oparciu o skuteczność owych prezykcyj. Powinniśmy dziękować im za tę zachętę, mimo ich bezzasadnego i szkodliwego lekceważenia hipotez wyłącznie objaśniających. *Preskrypcyjniści* zwrócili ostatnio uwagę analityków społecznych na praktyczne problemy konieczności dnia dzisiejszego, podczas gdy analitycy ci pochłonięci byli tworzeniem hipotez stosowalnych w dalszej perspektywie czasowej; należy oddać im tę zasługę, nawet jeśli przez większość czasu ich wysiłki wpłynęły negatywnie na analizę teoretyczną, jak i kreowanie polityki. Nie powinniśmy pochopnie uważać każdego analityka matematycznego za *matematotyka*; a nawet jemu powinno się dziękować za wkład w udoskonalenie matematycznego przygotowania przedstawicieli nauk społecznych, który służy lepszej selekcji talentów oraz większej elegancji wykładu. Zapewne można też powiedzieć coś pozytywnego o osiągnięciach *eksperymentalistów* nauk społecznych, jednakże nie udało mi się znaleźć niczego wartościowego.

W skrócie, dobre studia historyczne i instytucjonalne, interesujące holistyczne hipotezy i badania behawiorystyczne, rozwój pojęć operacyjnych, udoskonalenie badań ilościowo-empirycznych, zachęta do przewidywania i testowania, zwracanie uwagi na aktualne problemy praktyczne oraz lepsze przygotowanie z zakresu matematyki — są to rzeczy bardzo pożądane w naukach społecznych. Tym, co szkodzi, jest arogancja, lekceważenie, wykluczanie lub zakazywanie innym ich metod pracy oraz sugerowanie, iż pozostali stosują niższej klasy warsztat naukowy.

Dobra „metoda naukowa” nie może odrzucać żadnej techniki prowadzenia dociekań, uważanej za użyteczną przez szczerego i doświadczonego uczonego. Agresja i restryktywność różnych poglądów metodologicznych, jakie rozwinęli przedstawiciele nauk społecznych — w podświadomych próbach skompensowania swego poczucia niższości względem rzekomego „prawdziwego naukowca” — są godne ubolewania. Dążenia do ustanowienia monopolu jednej metody, moralizatorska perswazja oraz publiczne zniesławianie w celu wykluczenia innych owocują krzywdzącymi ograniczeniami badań i analiz, poważnie zakłócając ich rozwój.